

# Zajdzińska, Stanisława

---

## Wspomnienia z obozów na terenie ZSRR : Ostaszków - Morszańsk - 1 listopada 1944 r. - 13 listopada 1947 r.

---

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 16, 145-167

---

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisława Zajdzińska

## Wspomnienia z obozów na terenie ZSRR Ostaszków - Morszańsk 1 listopada 1944 r. - 13 listopada 1947 r.



Fot. 27. Stanisława Zajdzińska

Stanisława Zajdzińska (z domu Grekoto-wicz), nauczycielka, pochodziła z Białostoczczyzny. Urodziła się 21 lipca 1913 r. Seminarium w Płocku ukończyła w 1934 r. i pracowała w szkołach powiatu sierpeckiego. W 1939 r. wyszła za mąż za Tadeusza Zajdzińskiego z Bieżunia – nauczyciela. Podczas okupacji pozostała w Bieżuniu. Prowadziła tajne nauczanie i działała w POZ-AK. Zagrożona aresztowaniem w 1942 r. uciekła w Białostockie, do wsi rodzinnej Boćki. Tam również zajęła się tajnym nauczaniem i konspiracyjną pracą w AK. Po wkroczeniu wojsk radzieckich, z tego powodu aresztowana (1 listopada 1944 r.) i wywieziona do obozu pracy w Ostaszku. Wróciła 13 listopada 1947 r. Początkowo uczyła w Białostockiem, a od 1959 r. w Bieżuniu. Obecnie jest na emeryturze i mieszka w Sierpcu<sup>\*)</sup>.

Na Białostoczczyznę wojska radzieckie i polskie wkroczyły już 20 lipca 1944 roku. Miałam tę przyjemność, że z ramienia Komendy AK: Józefa Świdy i “Ryżego” byłam wydelegowana na powitanie armii polsko-radzieckiej na rzece Bug. 25 lipca, pamiętam, był piękny, słoneczny dzień. Przyjechaliśmy końmi do Siemiatycz, powiat Bielsk Podlaski. Wszystko się do nas uśmiechało. My z bochnem chleba, solą i kwiatami, oczywiście polnymi, czekaliśmy na moście. Serca były nam głośno. Nareszcie dojrzelismy

<sup>\*)</sup> Zob.: ST. ILSKI, J. SIEDLECKA, *Szkoły w gminie Bieżuń i ich nauczyciele*, (w:) “Bieżuńskie Zeszyty Historyczne”, 1994, nr 3, s. 94-95.

zbliżające się wojsko, na czele polskie mundury. Chwila podniosła i niezapomniana. Przywitaliśmy ich chlebem i solą. Przygotowałam płomienne przemówienie, ale przez ściśnięte gardło wykrztusiłam tylko dwa słowa: "Witamy bohaterów". Nie wstydziłam się łez, które rzęsiście spływały mi po twarzy. Wręczyłam kwiaty, a potem uściski, pocałunki, powitania... Po tylu ciężkich latach cierpień i prześladowań nareszcie Wolność!

Dowiedzieliśmy się od nich, że czeka ich trudna i daleka droga, bo nie odpoczną, aż w Berlinie. Dzień ten utrwalił się w mej pamięci jako najpiękniejszy i najszcześniejszy w życiu. Trudno wprost było uwierzyć, że to koniec męki, poniewierki, cierpień, że nareszcie wolni. Zatliła się w sercu nadzieja, że wśród tych strudzonych żołnierzy spotkam swego męża – Tadeusza lub gdzieś, na innym odcinku, witają go też jako zwycięzcę!

Jeszcze w lipcu 1944 roku zebraliśmy się, my nauczyciele, którzy ocaleli w osadzie Boćki. Porozumieliśmy się z inspektorem TON (Tajna Organizacja Nauczycielska), z panem Sylweryuszem Treuguttem, z ojcem profesora Stefana, i postanowiliśmy 1 września 1944 r. uruchomić szkołę powszechną. Ochoczo zabraliśmy się do porządkowania izb szkolnych. Na szczęście nasza stara szkoła ocalała. Mieliśmy kłopoty ze sprzętem. Rodzice znosili ławy, taborety, krzesła, stoły, stolarze z desek zbijali ławy. Ze schowków wydobywano polskie książki. Brakowało podręczników, zeszytów, atramentu. W sierpniu gromadzono wszystko, co komu ocalało i było przydatne dzieciom. Lokowaliśmy to w starej szafie przyniesionej z budynku gminy. Same myliśmy okna, podłogi po malowaniu ścian. Usuwaliśmy zbędne rzeczy ustawiając stoły, ławy, wieszając prowizoryczne tablice. Dopięliśmy swego, nawet dwa białe orły ocalały.

1 września 1944 roku odbyło się uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego. Odwiecznym zwyczajem udaliśmy się parami do kościoła, podziękować Bogu za przetrwanie, za zwróconą wolność i prosić o łaski dla uczącej się młodzieży, licznie tu zgromadzonej. Przed szkołą zebrani rodzice wysłuchali przemówienia kierownika szkoły, Edwarda Konarzewskiego. Dzieci deklamowały wiersze. Odśpiewaliśmy dwie pieśni, uroczystość zakończono hymnem: "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy" oraz "Rotą": "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród" – łzy szczęścia tamowały głos.

Gdy żołnierze na zachodzie przelewali jeszcze krew, dookoła rozlegały się huki dział, my, w osobach Edward Konarzewski, Helena Konarzewska, Maria Lulkowa, Stanisława Zajdzińska, Emilia Smoktunowicz, Barbara

Sietczyńska rozpoczęliśmy naukę, odrabiając zaległości z pięciu lat. W szkole powoli znalazły się tablice. Po kredę rodzice jeździli do Mielnika za rzekę Bug. Z czasem odkryliśmy źródło papieru i zeszytów. Atrament robiliśmy z czarnej farby lub ołówków chemicznych. Kochane dzieciaki, przedwcześnie dojrzałe przez boje i walkę z okupantem, uczyły się gorliwie i pilnie. Starsi pomagali młodszym. Przez pierwsze dwa miesiące przeprowadziliśmy selekcję uczniów. Bardziej zaawansowanym umożliwiliśmy przejście do wyższych klas. Wiek uczniów sięgał od 7. do 24. roku życia. Szczęśliwi byliśmy, bo każdy dzień przynosił pewne osiągnięcia. Nie pytaliśmy, za ile pracujemy. Nie było wtedy jeszcze komu płacić. Byliśmy pewni, że w wolnej Polsce potoczy się życie i praca pełną parą, że może będzie nam dane pomyśleć o własnym domu i własnym szczęściu...

A jednak zawiodło mnie szczęście, nie sądzone mi było cieszyć się wolnością i spokojnie oczekiwać powrotu z wojny mego męża.

Dnia pierwszego listopada 1944 roku o trzeciej godzinie nad ranem obudziło nas silne dobijanie się do drzwi i okien. Gdy ojciec otworzył, weszło dwóch żołnierzy, jeden był ubrany w polski, a drugi w radziecki mundur, obydwaj uzbrojeni. Oświadczyli, że mam się natychmiast stawić u komisarza radzieckiego na rozmowę. Zapytałam dlaczego o tej porze? Przeczulałam, że nic dobrego mnie nie czeka. Ubrałam się ciepło. Przypomniało mi się, że z chwilą uwolnienia naszych terenów spod okupacji Niemców, my, Armia Krajowa, ujawniliśmy się, zgłaszając swoją gotowość do pracy i dalszej walki z Niemcami. Nie pomyliłam się w swych przypuszczeniach. Zamiast zaprowadzić do komisarza, wepchnięto mnie do miejscowego aresztu. Moje zdziwienie nie miało granic, gdyż tam zastałam już resztę spędzonej inteligencji. "Sami swoi". Nieco lżej na sercu: Edward Konarzewski – kierownik szkoły, Stanisława Zajdzińska – nauczycielka, Antoni Sietczyński – naczelnik poczty, Zygmunt Karolczak – sekretarz gminy, Zygmunt Brycki – inwalida z września 1939 r., bez nogi, Antoni Kaliszewski – szef wywiadu AK, Jan Grekotowicz – rzemieślnik, mój stryj, Józef Michalski – urzędnik, Antoni Jabłoński i Marian Chodowiec – rolnicy, Stanisław Gratkiewicz – wójt gminy i dziedzic majątku w Andryjanach, Sylwester Treugutt – dyrektor gimnazjum, inspektor TON na terenie gminy Boćki, Kazimierz Zaręba – rolnik, Antonina Sietczyńska – uczennica gimnazjum, Alfreda Łuszczynska – uczennica, Jadwiga Derekojło – uczennica, Mieczysław Świerczyński i Alfred Lubowicki – żołnierze AK.



To ci, których znałam, było nas o wiele więcej, stłoczonych w małej salce aresztu. Ci wymienieni ludzie, z którymi współpracowałam w szeregach AK, umknęli oprawcom hitlerowskim, a dostali się w ręce "swoich". Rozpacz, gorycz i ból przepełniały nasze serca. Wygarnęłam konwojentom, co o nich myślę. Tak płaci się tym, którzy przeżyli koszmar walk z okupantem, udzielali pomocy rannym żołnierzom radzieckim. Domyślaliśmy się tylko, że męty społeczne, które wysługiwały się podczas okupacji Niemcom, chcąc uniknąć kary za swe przewinienia, schlebiają teraz Sowietom, oskarżając nas o wrogie ustosunkowanie się nasze do wschodniego sąsiada i socjalizmu.

Zaraz rano, o ósmej, wywieziono nas do więzienia w Bielsku Podlaskim. Tam obrabowano nas z kosztowności, mnie i innym odebrano nawet okulary. Rozpoczął się koszmar dochodzeń, badań. "Mądry Polak po szkodzi". Nie mogliśmy odżałować swego kroku, ujawnienia władzom radzieckim, że w AK walczyliśmy z Niemcami. Ponieważ przy pierwszym badaniu nie przyznałam się do przynależności do AK, musiałam wytrwać w swym uporze do końca pobytu w obozie. Mnie np. kazano wejść do oszklonej szafy. Wymierzywszy lufę rewolweru w moim kierunku, żołnierz krzyczał, że będzie strzelał, jeśli się nie przyznam do przynależności do AK. Byłam rozgoryczona, zawiedziona, widząc tego szubrawca w polskim mundurze... Naurągałam mu, nazwałam go imieniem, mówiąc: "śmierci to się nie boję, jeśli taka ma być Polska i tacy jej obrońcy, to strzelaj, draniu i zdrajco naszego narodu!"

Po takich i innych szykanach odtransportowano nas do Białegostoku. Tym razem zdawało mi się, że brama więzienia zamknęła się za mną na wieki.

W małych celkach było nas chyba po dwadzieścia, dwie prycze i w kącie kibel. Stałyśmy jedna obok drugiej. Były z nami dwie dziewczynki: Wiesia Truskołaska z Białegostoku i Halina Grochocka z Suwałk, wzięte z ulicy. Czternasto- i szesnastoletnie dzieciaki. Były gołe i bose. Rozpacz nas ogarnęła, gdy weszły do celi, miały sukienki i majtki sztywne od mrozu. Weszła z nimi matka Halinki, Róża Grochocka i Janina Szwauckst. Wyjaśniły, że tyle ich było w samochodzie, że nie mogły się ruszyć z miejsca i załatawały się tam, gdzie stały. Jedną drugą ogrzewaliśmy własnym ciałem. Te, co miały zapasową bieliznę, ubrania, dały to dziewczynom do przebrania się. Gdy rano obejrzałyśmy siebie, ze łzami w oczach poprzysięgłyśmy serdeczną więź i przyjaźń do śmierci.

Rozpoczęły się nowe dochodzenia i szykany. Skoro w Bielsku nie przyznałam się do żadnej organizacji, zapytałam śledczego, co to znaczy AK? Po tygodniowych szykanach, około 10 listopada 1944 r. załadowano nas do bydłych nieogrzewanych wagonów, bez latryn i wywieziono w nieznaną. Jechałyśmy w takich warunkach bardzo długo. Raz dziennie rzucono po dwa suchary, po łyżce cukru. Czasem rzucono kawałek słoniny, a właściwie skóry po słoninie, lub suszone ryby. Ostrych narzędzi nie miałyśmy, nie było więc czym tego pokroić, więc chyba nikt tego nie tknął. Ponieważ nic nie dawali do picia, zaczęłyśmy walić w ściany wagonów. Gdy nikt z zewnątrz nie zareagował na nasz bunt, kobiety zaczęły płakać i wyć. Wtedy odryglowano wagony i pozwolono nam przynieść wiadro lodowatej wody. Wodę czerpałyśmy brudnymi rękami i zwilżyłyśmy sobie spieczone wargi, sztywne języki, a następnie gasiłyśmy pragnienie. Podczas takich postojów co śmielsi próbowali uciec. Niestety zostawali tylko ci, których dosięgnęła kula konwojenta, innych prowadzono do pociągu okrutnie pobitych. Tłok i zaduch w wagonach był taki, że w tym smrodzie trudno było wytrzymać. Dopiero po paru dniach wycięto otwór w podłodze do załatwiania się, ale ile trudu trzeba było pokonać, żeby się doń docisnąć... Postoje miały tę dobrą stronę, że wpadało trochę świeżego powietrza i czasem udało się dowiedzieć, którędy podąża nasz transport. Ustaliłyśmy trasę: Białystok, Baranowicze, Mińsk, Smoleńsk, Moskwa, Kalinin, Ostaszków.

Jak się okazało, wyładowali nas u źródeł Wołgi, w Ostaszkowie. To był koniec listopada lub początek grudnia 1944 roku. Poranek był piękny, słoneczny, ale mroźny, około  $-32^{\circ}$ . Był to najsmutniejszy w moim życiu poranek. Kostnieliśmy na tym siarczystym mrozie. Przeliczano nas, jak stado spłoszonego bydła, pokrzykując przy tym i operując "świątą, ruską łaciną". Do obozu szliśmy pieszo bardzo długo. Było nas tak dużo, że straciłam orientację liczby, czasu i przestrzeni. Wielu z wycieńczenia i chłodu nie doszło, mimo że słabym pomagaliśmy dobrać do miejsca postoju. Zdawało nam się, że ten marsz nędzarzy, cuchnących, wygłodniałych, w zmarzniętych ubraniach i bieliźnie zmierza w nieskończoność. Wreszcie "ostoja" za drutami! A tu dziewięć długich, ale lichutkich baraków – wiatrem podszytych. Po "prowierce" zapakowali nas w te ponure, długie budy. Po obu stronach prycze dwu- i trzypiętrowe, na których kazano nam się lokować. Mnie przypało miejsce na samej górze, pod dachem. Początko-

wo cieszyłam się z tego przydziału, że nic nie będzie mi się sypało w oczy, że po miesięcznej tułaczce, po więzieniach i podróży, zdejmę nareszcie buty, brudną bieliznę i wyciągnę się na twardej pryczy, by na chwilę zapomnieć o strasznej rzeczywistości. Nadzieje i tym razem zawiodły. To, że było twardo, nic nie szkodziło, ale pod jednym byle jakim kocykiem spać było straszliwie zimno. Po krótkim wytchnieniu wzięli nas do łaźni. Radość, że ciało nasze doprowadzimy do jakiegoś porządku. To był pierwszy jaśniejszy promyczek w naszym ciężkim życiu. Wyszorowałyśmy się za wszystkie czasy. W tym czasie ubrania i okrycia nasze dezynfekowały się w jakiś piecach. Po wyjściu z kąpieli, nago, długo musiałyśmy szukać części naszej garderoby i zmarzłyśmy niesamowicie. Ubrania były niezdatne do włożenia, wilgotne i cuchnące z daleka. Te były szczęśliwe, które miały zapasowe ubrania lub bieliznę. Reszta dzwoniła zębami.

Wiele z nas nie przetrzymało warunków życia. Z dysenterią, wysoką gorączką umieszczono je w obozowym szpitalu. Głód dokuczał nam nadal. Otrzymywałyśmy około 200 gramów chleba, łyżkę cukru, łyżkę machorki i kubek napoju o nieokreślonym smaku. Na obiad dawano zupę z zielonych liści kapusty, a na kolację odrobinę kaszy.

Umyci, pokrzepieni, rozejrzeliśmy się po okolicy. Dwa baraki zajmowały kobiety, resztę mężczyźni. Było bardzo zimno, marzył nam się odpoczynek. Po wspólnej modlitwie pokładłyśmy się spać. Zgasiłyśmy kopciucha, który kopcził niemiłosiernie. Po takim zmęczeniu i niewygodach próbowałyśmy usnąć. Ale ten sen nam się nie udał. Jak tylko w baraku zrobiło się ciemno, nagle przypuściły na nas atak różne insekty. Pluskwy zasypywały oczy, gryzły okropnie. Dookoła skrzyp prycz, krzyk kobiet, płacz, a nawet przekleństwa. To była koszmar na noc! Nikt z nas oka nie zmrużył, nie mogłyśmy się doczekać ranka. Kiedy brzask nieco rozjaśnił mroki, usłyszałam w różnych kątach baraku to śmiech histeryczny, to płacz rzewny. Niepokoił mnie ten stan. Przecież wszystkie noce miały być takie. W pewnym momencie zachciało się i mnie płakać nad naszą dolą. Gdy zesłam na dół i spojrzałam w oblicza moich sąsiadek, oniemiałam – wszystkie miały buzie wybrzdzone krwią. Pytam, gdzie się tak pokaleczyły czy podrapały? Gdy pokazały mi lusterko i spojrzałam na siebie, zaczęłam też się śmiać, wylewając gorzkie łzy. To były skutki naszej walki z pluskwami i innym robactwem.

Następnego dnia zebrano nas w dużej sali – mieliśmy wybrać samorząd obozu. Komendantem całego obozu został pułkownik Rajmund Gunow-

ski, oficer spod Wilna. Komendantką kobiet wybrano Marię Kanarek, zastępczynią Irenę Gogolewską, obie z Białegostoku. Ta trójka miała być łącznikiem między nami a zarządem obozu w Ostaszkwie. Regulamin narzucono rygorystyczny. Na pytania – dlaczego nas tu przywieźli, odpowiadano: “NKWD wam wyjaśni”. Gdy skarżyliśmy się na głód i brud, odpowiedzieli: “Kto nie rabotajet, nie kuszajet”. Trzeciego dnia, gdy zapytali, kto chce pracować, zgłosiłyśmy się w różne miejsca. Mnie zatrudniono w obozowym szpitalu, w charakterze “miedsiestry”. Coś niecoś pamiętałam o leczeniu ze zbiorok harcerskich, a podczas okupacji przeszłam medyczne przeszkolenie, jako komendantka Wojskowej Służby Kobiet, pod pseudonimem “Tadkowska” pracowałam w ruchu oporu, szkoląc dziewczęta do udzielania pierwszej pomocy rannym żołnierzom z Armii Krajowej w placówce Boćki, pow. Bielsk Podlaski. Łaciny jednak nie znałam. Cieszyłam się z tej pracy. Wnętrze budynku było ciepłe. Ponieważ niezłe posługiwałam się językiem rosyjskim, naczelnym lekarz (Sowiec) mianował mnie starszą “miedsiestrą”. Byłam zaszokowana tym wyróżnieniem. Nie znając łaciny, miałam trudności w zapisie chorob leków. Miałam szczęście, że pomocniczym lekarzem był Polak, Zbyszek. On mi wypisywał nazwy leków najczęściej stosowanych i dzięki temu w zapisie nie robiłam błędów. Był wśród Sowietów felczer, jedyny chyba po ludzku się do nas zwracający. Nazwaliśmy go “Cap-carap”. On nam nie dokuczał, a raczej pomagał. Do niego zwracałam się, by moje dziewczynki z Bociek zatrudnił w szpitalu. Przychylił się do prośby i zatrudnił Alfredę Luszczyńską, Jadwigę Derehajło i Wiesię Truskolaską oraz Halinę Grochocką. Tam życie było bardziej unormowane, wyżywienie obfitsze i posilniejsze. Do kuchni, magazynów, chleborczki żadna Polka nie dostała się. Wszystkie instytucje, gdzie można było coś zjeść, obsadzone były przez Niemców, jeńców wojennych, do naszego szpitala zatrudniono również Niemca lekarza. Dla nas była to bolesna taktyka naszych sąsiadów. Czyż za mało było jarzma w kraju, to jeszcze tu w obozie uzależniono nas od łaski i niełaski Niemców.

Praca w szpitalu układała się dobrze. Wielu chorym można było pomóc i postawić na nogi. Nagrodą za pracę był uśmiech chorego lub tego rodzaju rymy: *Dla wspomnienia. Wielce szanowna Pani, takie słowa dziś rodzą się w mojej duszy, których siła żadna i huk armat nie zagłuszy. To dla Ciebie droga Pani, za uczucie twe najszczerze, dziś w zmęczonych moich*

*zmysłach takie zrodziły się wiersze. Za ofiarną pracą dla nas, którą wiedziesz szczerze w dani, kreślę moje proste rymy w podziękę przezacnej Pani. Za wysiłek, poświęcenie i noce bezsenne, które Pani dla nas traci, w mych wspomnieniach będą cenne, a trud Ojczyzna opłaci. A gdy ponury Ostaszków Pani opuści i u swych najdroższych się zatrzyma, to po wytnieniu zmęczeń ogólnych niech przejrzy tę kartkę swoimi oczyma, a pamięć przypomni, że to ja pisałem z wdzięczności dla Pani, z rozkazu sumienia. Prosto, lecz szczerze te rymy dobrałem dla Pani wspomnienia...*

Przesłuchaniami nęcano nas nadal. Zrywano nas w nocy o pierwszej, drugiej nad ranem. To był czas, kiedy po walce z pasożytami zdążyłyśmy usnąć. Takie przesłuchania trwały długo. Często, zmęczona pracą i walką z pluskwami, nie wytrzymałam nerwowo. Mówiłam otwarcie, co sędzę o ich taktyce, ich dyskryminacji Polaków, że wspólnych naszych wrogów honorują, przydzielając ich do pracy w kuchni, magazynach, żeby nas uzależnić od humorów Niemców i ich łaski.

Nie podobały się NKWD moje uwagi. Ukarano mnie karcerem. Czterdzieści dni odosobnienia w głębokiej piwnicy, gdzie przez pięciocentymetrową szczelinę mogłam obejrzeć czasem buty przechodzących ludzi. Wilgoć, zaduch obrzydzały mi życie. Nie mówię nawet o samotnym rozmyślaniu i szalonej tęsknocie do bliskich z Ojczyzny. Za karę zwolniono mnie z pracy w szpitalu. Cieszyłam się myślą, że "moje" dziewczęta były zatrudnione w szpitalu, gdzie miały lżejszą pracę.

Najboleśniejszym przeżyciem był ósmy i dziewiąty maja 1945 r. Koleżanki przybiegły do tej szczeliny, by mi złożyć życzenia imieninowe. Przy okazji obwieściły mi, że koniec wojny i całkowita kapitulacja Niemiec. Rozplakałam się. Tam wszyscy cieszą się, bawią, wiwatują, a ja zamknięta w tej norze jak największy przestępca.

Po tygodniowym więzieniu zwolniono mnie przed terminem, na skutek silnej temperatury i utraty przytomności. Zabrano mnie w tym stanie do szpitala obozowego, gdzie lekarze stwierdzili ataki malarii. Leżałam dwa tygodnie. Te ataki tak mnie osłabiły, że ślaniałam się na nogach. Przyjmując chininę zzółkłam jak marchewka, a ataki nie ustawały. Do tego dołączyła się seria wrzodów. Niektóre trzeba było ciąć, gdyż groziło zakażeniem. Jasnym promykiem tych niepowodzeń było to, że nie wychodziłam do roboty, poza obóz. Dzięki takiej sytuacji mogłam zająć się bliźnimi jeszcze słabszymi ode mnie. Reperowałyśmy im bieliznę, prały, starsze niewiasty zachęcałam do spacerów, ruchu.



Wiele czasu pochłaniała walka z pasożytami. Wszy się tak rozprzestrzeniły, że nie mogliśmy się ich pozbyć. Ciężko nam było przeżywać takie święta, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc. Pamiętam pierwsze święta 24 grudnia 1944 r. "Boćkowiacy" zebrali się wszyscy w baraku męskim, przy pryczy Wacka Krajewskiego, którego w czasie aresztowania postrzelono. Był on jeszcze chory i słaby, postanowiliśmy być razem z nim. Umówiliśmy się wcześniej, że każdy załatwi kęs chleba, którym podzielimy się zamiast opłatkiem. Na ręczniku złożyliśmy te okruchy. Łzy się w oczach kręca, każdy z nas podchodzi, by symbolicznie wziąć kęs chleba – rozpoczęły się życzenia. Gdy ceremonii stało się zadość, popłynęła pieśń "Wśród nocnej ciszy...". Przyszły wspomnienia. Dziewczeta płakały tęskniąc za domem. Koledzy wspominali, ile i jakie dania spożywali w domu. Aby rozchmurzyć nasze dawne, rzewne wspomnienia, nuciliśmy kolejno kolędy, życząc sobie, by to były pierwsze i ostatnie takie święta.

Brud i choróbska nękały nas coraz bardziej. Codziennie myliśmy w baraku podłogi. To miał być środek na utrzymanie czystości, a praktycznie wilgoć sprzyjała rozmnażaniu się takich insektów, jak karaluchy, prusaki i stonogi. Nic nie robiono, by je tępić, a one nam życie uprzykrzały i obrzydzały. Męczył nas brak wiadomości o najbliższych. Nic nie wiedzieliśmy o stosunkach społecznych i politycznych między nami a sąsiadami – ta niepewność też zatrzuwała nam życie.

Wczesną wiosną pędzono nas do wyrabiania torfu w bagnach otaczających obóz w Ostaszku. Do tej pracy wyruszałyśmy po kromce chleba i kubku płynu już w lutym i marcu. Póki był lód i śnieg, to ładowałyśmy torf na wagoniki i pchały je po szynach do obozu. Trasa wynosiła 4 do 5 kilometrów. Z pustymi wagonikami radziłyśmy sobie niczłe. Najtrudniej było załadować je torem, a następnie go zdejmować. Ręce nam opadały. Tafle były długie i nie na nasze siły. Gdy śniegi stopniały, wysyłano nas na torfowiska i tam musiałyśmy wyrąbywać odpowiedniej wielkości tafle i ustawiać je tak, by przez lato schły. Praca ta była ciężka i wyczerpująca. Posiłek otrzymywałyśmy między czwartą a piątą po południu. Często wracałyśmy w przemoczonych ubraniach i obuwiu, a nie było tego gdzie wysuszyć, bo żelazny piecyk nie dawał tyle ciepła, żeby wszystkie mogły iść na drugi dzień do pracy w suchych fufajkach i obuwiu. Z pracy wracałyśmy tak umordowane, że natychmiast zasypiałyśmy kamiennym snem, nie czując, jak nas żarły pasożyty, tylko na ciele i policzkach ślady świadczyły o naszej podświadomej walce z nimi.



Innym rodzajem pracy w zimie było ścinanie wielowiekowych sosen. Cztery kobiety otrzymywały sanie, siekiery, piłę i dwóch konwojentów do każdych sań. Ciągnęłyśmy to do gęstego lasu, odległego od obozu siedem do dziesięciu kilometrów. Puste sanie po ubitym śniegu sunęły sprawnie, gorzej było w lesie. Tam, po chmury sięgające sosny wyznaczali konwojenci do wycięcia. Mówiąc prawdę, nie wiedziałyśmy, z której strony się do nich zabrać. Ciągnąć piłę umiałam, nie raz to robiłam w domu, ale w domu piłowałam drewno leżące. A tu w lesie stało to potężne drzewsko i naigrywało się z nas niebożąt. Zadzieraliśmy głowę wysoko, ale żadna z nas nie wiedziała, jak głęboko je podciąć i w którą stronę będzie padało, by na czas uciec i uniknąć śmierci lub kalectwa. Straszne i groźne było to spotkanie z naturą. Ile pisku, krzyku, a nieraz i płaczu było słyszeć w lesie. Dzięki opatrności bożej do poważniejszych wypadków nie doszło. Gdy to wielkie drzewo położyliśmy, znowu problem, co zrobić, żeby je ulokować na saniach. Ponieważ czas uciekał, piłowałyśmy pień, koleżanki pobcinały konary. Ja nigdy siekiery w rękach nie miałam, nie umiałam się nią posługiwać. Ile trudu i wysiłku poniosłyśmy zanim nasz "urobek" znalazł się na saniach. A potem na zmianę, dwie koleżanki ciągnęły sanie z przodu, dwie pchały. Co parę kilometrów zmieniałyśmy się i gdy ściemniło się na dworze, w ogromnym znoju i pocie dowożyłyśmy drewno do obozu. Takie wyprawy odbywały się co drugi dzień. Czekałyśmy niecierpliwie na wiosnę. Zima była ostra i ciągnęła się w nieskończoność, a nam naprawdę brakowało już sił do tak ciężkiej pracy.

Kalendarzowa wiosna już dawno się zaczęła. Nas nadal nękały mrozy i zawieje. Jeśli kiedy ukazało się słońce, to nigdy nie miało takiego blasku jak u nas w Polsce. Śniegi były nie do przebrnięcia. Zrąb w lesie, zaduch w barakach, pluskwy nadal zasypywały oczy. Ubrania się dodzierały, brak bielizny dawał się we znaki. Buty otrzymywałyśmy albo za duże, albo za krótkie. Brałyśmy dłuższe, bo można nogi owinać onucami.

Przez ten długi pobyt we wspólnej nędzy, o dziwo nie kłóciłyśmy się, dzieliłyśmy się wszystkim, nawet czosnkiem i cebulą, które nabywałyśmy najczęściej za machorkę, której codziennie otrzymywałyśmy po łyżce. Jedząc te przysmaki łudziłyśmy się, że jemy wonną kiełbasę. Zupy też miały swoje nazwy. Kiedy do którejś menażki wpadło oko bydłce, mówiło się, że to zupa "co widzi". O tłuszczach, mięsie, maśle, mowy nawet nie było. Nie tylko zapominałyśmy, jaki mają smak, ale jak wyglądają. Zaczęły się

szerzyć takie choroby jak szkorbut, próchnica zębów. Dentysty na terenie obozu nie było, gdy komu silny ból dokuczał, nasi lekarze przemycali tabletki przeciwbólowe. Życie nasze pełne rozterek, tęsknot, bólu, niekiedy rozpacz, prowadziło do beznadziejności. Zdawało się nam, że nikt i nic nam pomóc nie zdoła, a mimo to zacieśniała się między nami przyjaźń czysto ludzka. Już w tej nędzy, brudzie i głodzie dożyliśmy roku 1946. Mimo że wojna zakończona, a my jako przestępcy. U naszych "władców" też nie najlepsze nastroje: lęk, nieufność, jeden boi się drugiego, jeden towarzysz chce być ważniejszy od drugiego.

Aby właściwie ocenić ogólną sytuację w ZSRR trzeba zaznaczyć, że tylko urzędnicy mundurowi byli formalistami, źle ustosunkowanymi do internowanych. Ogół społeczeństwa radzieckiego to dobrzy, życzliwi ludzie, choć bardzo biedni i prymitywnie żyjący, w nędzy. Wśród nich było wielu ludzi w pełni tego słowa znaczeniu. Dzięki nim nawiązałyśmy kontakt z rodziną w kraju. Mnie np. ułatwiła kontakt z rodziną "miedsiestra" Zoja Bażanowa z pobliskiej wsi. Kazała mi napisać list po polsku, ale ruskimi literami. Ona list zaadresowała i wysłała do Polski. 19 marca 1946 r. Zoja w wielkiej tajemnicy powiedziała mi, że są do mnie trzy listy, ale w jej domu, w kołchozie oddalonym od obozu o pięć kilometrów. Muszę sama dotrzeć do jej domu i od jej mamy odebrać. Sama nie mogła przywieźć, bo ich codziennie na dyżurce rewidują, czy nie przynoszą nam czego do obozu. Radość moja i szczęście było wielkie!!! Ale jak się stąd wyrwać i jak trafić do tego kołchozu? Pamiętam mróz siarczasty, dookoła pełno śniegu, na horyzoncie nie widać żadnego śladu życia. Sama nie wyruszę, bo mnie nie wypuszczą za druty. Nie ma rady, muszę tę "słodką" tajemnicę zdradzić komendantce obozu pani Marii Kanarek, by wymyśliła jakiś powód wyjścia za druty. Ta pokręciła się po świetlicy i stwierdziła, że portret Lenina wisi na gołej ścianie. Poszła do dyżurnego wartownika, że musi pójść po świerk do pobliskiego lasu, by przyozdobić portret. Podała moje nazwisko, że zabiera mnie do pomocy. Po półtorarocznej odsiadce, pierwszy raz bez konwoju za drutami... Wzięłyśmy siekiere i wyszłyśmy za bramę. Ale ani rusz nie wiemy, którędy dostać się do tego kołchozu. Las majaczy na horyzoncie, ale nigdzie nie ma żadnej drogi, ani śladu życia. Zoja tłumaczyła, że prosto, potem w prawo. Dłużej chyba niż dwie godziny chodziłyśmy po bezdrożach, zanim usłyszałyśmy szczekanie psa. Często zapadałyśmy w głęboki śnieg. Jedna drugą wyciągała z tej przepaści.

Towarzyszka moja już zrzędziła, narzekąca, że na próżno tracimy czas, bo nie trafimy, a ja ze łzami w oczach błagałam, by nie rezygnowała, czyż nie rozumie, czego mnie pozbawia. Po siedmiu latach rozłąki z mężem mam pierwszą o nim wiadomość. Żyje, pisze, nawet przysłał swoje zdjęcie, tyle wiem od Zoi. Patrząc na moją strapioną fizjonomię, chyba zmiętkło jej serce i mimo uciążliwej drogi, brnęliśmy przed siebie. Znowu nie wiem, po jakim czasie coś zamajaczyło przed oczyma. Najpierw jakiś dym z kominą, potem tonące w śniegu chatyny. Za wszelką cenę postanowiłyśmy tam dotrzeć, by zasięgnąć informacji o poszukiwanym kołchozie. Po wielu trudach dobrnęłyśmy do pierwszej chaty wrośniętej w śnieg – pukamy – cisza... Dom otwarty, a żywej duszy w nim nie ma. Dwie izby, zamiast podłogi ubita glina, posypana żółtym piaskiem, na stoliku gdzieś flaszeczki, kilka stojących widokówek, jedno łóżko, parę stołków, to całe umeblowanie. Zerknęłam na adres na kartce, a tam: “Zoja Bażanowa”. Radość niezmierna, trafiłyśmy we właściwe miejsce. W kuchni tylko piec chlebowy. Jak ci ludzie nie pomarzną. Zimno, co robić? Gdzie właściciele? Wychodzimy przed dom. Stos chrustu i pieniek. Moja towarzyszka zadecydowała, że porąbamy ten chrust, może ktoś usłyszy i zjawi się tu. Chrust układałam przy ścianie. Po jakimś czasie nareszcie zbliża się jakaś istota. Pytam, czy tu mieszka Zoja i gdzie jej mama. Potwierdziła czyj ten dom i że idzie do kołchozu, to ją powiadomi, że ma gości. Po półgodzinie zauważyłyśmy zbliżającą się starowinkę w kufajce, owiniętą w chustę. Myśmy ją pozdrowiły, a ona rzuciła się w nasze objęcia i mówi: “Ty nawierno Stasia!” Rozpląkałyśmy się wszystkie trzy. Podziękowała za porąbane drzewo i zaprosiła do mieszkania. Usiadłyśmy na długiej drewnianej ławie. Podała mi dwa listy od rodziców, w których był również list od męża wraz z fotografią i drugi list od mojej przyjaciółki, która przebywała w obozie w Ravensbrück. Co za szczęście, że przetrwała. List od męża, zdjęcie. Tak sobie go wyobrażałam, przebywa w Szkocji, w Dublinie, żyw i cały. Czeką na mój powrót i dopiero wróci do kraju. Trudno mi słowami wyrazić nadmiar szczęścia!... A więc nie wszystko stracone!!! Chłonełam te upragnione słowa! W międzyczasie mama Zoi przyniosła nam “supczyk” na dwu talerzach. Smakował nam wyśmienicie. Poczęstowała nas plackami, czarnymi jak święta ziemia, w zębach trzeszczał piach. Na pytanie z czego one zrobione, powiedziała, że obierki suszą, łączą z ziemniakami i pieką zamiast chleba, bo go brak. Przyjęła nas serdecznie i życzliwie. Nie mając

czym więcej ugościć, oblała nas wodą kwiatową o bardzo silnym zapachu. Z całego serca podziękowałyśmy za gościnność i udałyśmy się najkrótszą drogą do obozu. Ja szczęśliwa ze swymi "skarbami" na piersi, pędziłam jak na skrzydłach. O mały włos weszłybyśmy do obozu bez świerku. W ostatniej chwili przypomniwałyśmy sobie cel naszego wymarszu. Ucięłyśmy kilka gałązek i udekorowały portret Lenina. Podziękowałam komendantce za trud, prosząc, by naszą eskapadę zachowała w tajemnicy, by nie obciążać Zoi. A mnie świat się odmienił, byłam szczęśliwa, że najbliżsi żywi, zdrowi, wiedzą o mnie. Następnym razem już łatwiej pod różnymi pozorami odbierałyśmy listy, które tam docierały. Lżej było znosić trud i chłód, gdy wiedziało się, że ktoś o mnie myśli i czeka na mój powrót.

Śniegi i lody powoli tajały, a nas frapowały kurhany, jakie były nasypane poza naszymi drutami. Nasze pytania kwitowano milczeniem. Gdy słońce przygrzało, poczułyśmy niesamowity fetor. W naszym ogrodzeniu trudno było wytrzymać. Niektórym zdawało się, że ziemia na kurhanach porusza się. Za srebrny łańcuszek jedna Sowietka powiedziała, że jak byli tu "kitajce" (Japończycy), wielu z nich wymarło na zakaźną chorobę i tu spoczywają na wieki wieków, mają usypaną wspólną mogiłę. Oczywiście dotrzymałam tajemnicy, nie mówiąc o tym nikomu. Umarli, niestety, nie przemówią i nie wiadomo, kto jeszcze podzielił tu los Japończyków. Kolega Mietek Świerczyński, który znalazł się też w Ostaszkowie, opowiadał mi, że gdy pewien chory, pod wpływem wysokiej temperatury uciekł z miejscowego szpitala i pędził w kierunku ogrodzenia, ze strażnicy został zastrzelony i on musiał temu nieborakowi w pobliżu tych wzgórz wykopać grób i tam złożyć jego szczątki na wieczny spoczynek.

Daty dokładnie nie pamiętam, ale pewnego wiosennego dnia gruchnęła wiadomość, że odsyłają nas do Polski. Sam wyraz "Polska" zafascynował nas, a więc jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy!, chyba wolna, ale czy niepodległa?

Chyba to był kwiecień lub maj 1945 r., kiedy wyczytano na apelu nazwiska młodych mężczyzn i wysłano ich do Diagielowy pod Riazaniem, stamtąd mieli ich odesłać do Polski. Wywieziono stąd wszystkich sprawnych mężczyzn. Cieszyłyśmy się, że tam będzie im łatwiej wytrwać do końca. W grudniu 1945 r. i styczniu 1946 r. zapowiadano nowy transport do Polski. W styczniu 1946 r. wyczytano ludzi starszych i młode dziewczęta do wyjazdu. Ta dość liczna grupa skazańców, po rzewnych pożegna-

niach, opuściła Ostaszków. Ci mieli przez Brześć nad Bugiem dojechać do kraju. Mówiąc szczerze, nie bardzo wierzyliśmy w to, co ogłaszali. Bo czyż nie łatwiej było odtransportować wszystkich jedną drogą, jak nas przywieźli? Tym transportem odjechały wszystkie moje dziewczynki z WSK z Bociek. Cieszyłam się i tym, że jadą wcześniej, że złączą naukę i pracę. A wiem, że ręk do pracy w zrujnowanej ojczyźnie brak. Pożegnania trudne są do opisanego. Łzy, słowa otuchy, uściski i zapewnienia, że powiadomią o naszym losie rodziny, że do nas napiszą. Niestety, nie trafiłam na listę "szczęśliwców". Odmaszerowali na stację kolejową, a za nami zamknęły się bramy obozu, czyżby na wieki?... Przeplakałyśmy do wieczora. Zostało nas kobiet około 200 osób. Nie tknęłyśmy kolacji. Zdawało się, że tu jest nasz kres, że tu spoczniemy obok tych zbiorowych mogił. A jednak żyję, jeszcze żyję mimo braku jedzenia, brudu, zimna, braku odzieży, obuwia, ciężkiej pracy poza obozem, częstych wezwań na "dopros", przykrew wymiany zdań, NKWD w perfidny sposób przeprowadzało te badania. Dalej żądali, żebym przyznała się do pracy w AK, że jestem wrogiem ludzi "socjalizmu" i ZSRR. Zobojeźniałam na te pogrożki. Nadal zadawałam pytania, jak widzą z nami współpracę, jako z najbliższymi sąsiadami, z sojusznikami. My nie tak prędko zapomnimy o Ostaszkwie, o traktowaniu nas. Zarzucano mi współpracę z rządem londyńskim. Podawałam im przykłady ścisłej współpracy naszej z partyzantką radziecką, wspólne walki Polaków z partyzantką radziecką w Puszczy Białowieskiej przeciw hitlerowcom. Wiele akcji było udanych, czyżby i ci żołnierze radzieccy byli wrogami własnej ojczyzny?... Znowu mnie izolowano od reszty towarzyszek. Tym razem odosobnienie potraktowałam jako "urlop" po ciężkiej pracy. To był już rok 1946. Utraciłyśmy nadzieję, że coś się zmieni w naszym życiu, nawet gdy koło 20 maja gruchnęła wiadomość, że resztę Polaków odsyłają do kraju. Byłyśmy u kresu wytrzymałości, zawiedzione, zniechęcone do życia i tę wiadomość przyjęłyśmy bez entuzjazmu.

Po obiedzie sprawdzenie dokumentów, zwrot koców i menażek. Kazali nam zabrać własne rzeczy, pytałam, jakie? Wszystko miałyśmy na sobie. Nim dostałyśmy się na stację kolejową, nim załadowano nas do bydłych wagonów, zapadł zmrok i ten fakt rozwił nasze nadzieje. Nieprędko Cię zobaczymy, Ziemi Rodzinna. Mimo woli przypominały mi się słowa Marii Konopnickiej:



*Idziem do Ciebie Ziemi, Matko miła  
By paść czołem na Twoje Zaporozie  
Nie jeno liczba my, ale i siła!  
Nie jeno pług, co lany Twe orze...  
Ale i piorun, co Bóg go posyła  
Ale jeno proch my, co wiatrem polata  
Ale i bary dźwigające pól świata...*

Jechaliśmy w podobnych warunkach jak do Ostaszkowa, z tą różnicą, że wieziono nas w nieznaną pięć dni. Przedtem nękał nas mróz i głód, pragnienie, teraz ta różnica, że było ciepło. Zorientowałyśmy się, że wieziono nas przez Moskwę. Za Ostaszkowem nawet nie obejrzałyśmy się...

Dnia 25 maja 1946 r. ze wschodem słońca odryglowano wierzeje i wypuszczono nas ze stłoczonych, smrodliwych wagonów. Wygłodzeni, wybidzeni tułacze, którzy od dwóch lat nie mogą trafić do swych gniazd. Wylądowałyśmy w nowym obozie, w Morszańsku, "obłast" Tuła, 1 200 kilometrów na południowy wschód od Ostaszkowa. Były tam obozy jeńckie Japończyków, Węgrów. Naszych transportów dotąd tu nie było.

Znowu trudne pytania – gdzie są ci, co pojechali przed nami? Rozpoczęły się nowe karty przeżyć. W pierwszej chwili wydawało się nam, że tu cieplej, baraki luźniejsze, ale regulamin i rygor taki sam. Dla mnie ciężkie przeżycie, zerwał się kontakt z rodzinnym krajem, z najbliższymi. Moja Zoja została daleko. Pisałam listy po rosyjsku. Niektóre dotarły do kraju, do domu. Gdy żołądki zaczęły się upominać o swoje prawa, zgłosiłyśmy się do pracy. Brano nas do kołchozów do pracy w polu. Wyrywając i czyszcząc warzywa, częściowo dożywiałyśmy się, gdy konwojent nie widział. Tam wygrzewałyśmy obolałe kości w słońcu! Drżałam przed nowymi atakami febry. Tak bardzo chciałam wrócić do rodzinnych pieleszy, bo przecież czekają rodzice i ukochany małżonek, też tułacz po obcych ziemiach. Ta nadzieja, że Ich jeszcze zobaczę, dodawała otuchy i sił do przetrwania. Tu jakby klimat cieplejszy, powietrze czystsze, było czym oddychać. Pośliki treściwsze. Tytoń i tu nam dawano. Wiele kobiet nauczyło się palić, mnie to nie pociągało. Wołałam machorkę zamienić na pożywniejsze artykuły. Tymczasem dni jesienne były coraz krótsze. Najtrudniejsze do przetrwania były miesiące listopad i grudzień. Śniegi pokryły pola, a nas pędzono 20 kilometrów w jedną stronę, by spod śniegu i lodu wyciągać marchew, brukiew, buraki lub wycinać kapustę. Nie mogłyśmy pogodzić się



z myślą, że gleba tam rodzi obfite plony, a nie ma komu ich w porę sprzątać. Idąc do pracy mijałyśmy rozległe łąny nie skoszonej pszenicy, jęczmienia lub owsa. Dorodne kłosa leżały pokryte śniegiem. Czasem udawało się nam zerwać kilka, by posilić się zbożem. W tych okolicznościach wyruszyliśmy do pracy na cały tydzień. Karmiono nas w kolchozach lub sowchozach. Najtrudniejszy problem był ze spaniem. Stacjonowałyśmy w barakach lub w cerkwiach. Nie było na czym spać. Kucałyśmy w kątach i drzemałyśmy jak wróble na dachu. Nogi drętwiały, ziąb dokuczał. Przez noc dymiała "kopciłka", do tego dymu i smrodu dołączył się dym z papierosów. Kaszel, kichanie utrudniało nawet drzemanie. W kącie stały jakieś wyra, ale do spania dla robotników tu zatrudnionych. Przychodzili parami o różnej porze nocy. Nie liczyli się z nikim i niczym. Nie zwracając na nas uwagi, umilali sobie czas. Raz przyszły trzy pary i publicznie się zabawiały. Wstydziliśmy się, że i młodzież patrzy na te orgie. Tym zabawom towarzyszył wulgarny język. Trudno uwierzyć, że ludzie tak zdziczeli. Rozumiałyśmy, że lata wojny też odbiły się na psychice tych ludzi. Wiele lat upłynie, nim odrobi się straty w mentalności tych ludzi. Do końca grudnia chodziłyśmy do tej pracy z dała od Morszańska, w trudnych warunkach atmosferycznych wrywałyśmy płody Matce Ziemi. W następane zimowe miesiące gromadziłyśmy opał do obozu, porządkowałyśmy obóz. Wyczułyśmy, że coś się zmienia, nie ma śledztwa, uporczywych dochodzeń. Jedzenie jednak było nadal byle jakie, byłyśmy wiecznIE głodne, marzyło nam się, by choć raz najeść się tyle, by kiszki nie grały marsza.

W długie noce zimowe przychodziły nam do głowy różne pomysły. Postanowiłyśmy na terenie obozu ożywić życie kulturalne. Miałyśmy, jak na te warunki, ładną salę rekreacyjną. Postanowiłyśmy zwrócić się do zarządu obozu, czy mogłybyśmy się tam zbierać i kulturalnie spędzić wieczór. Władze zezwoliły. Pierwsze wieczory poświęciłyśmy na wspomnienia. Opowiadałyśmy chętnie o sobie, albo najciekawsze epizody z własnego życia. Innym razem produkowałyśmy się, wygłaszając zapamiętane strofy wierszy. Było i tak, że zespołowo montowałyśmy treść wierszy. Było przy tym trochę humoru. Przychodziły chwile, gdy zdawało nam się, żeśmy tu całkiem zbaranieli, i niczego nie umiemy, nie pamiętamy. Łapałyśmy siebie na niepoprawnej mowie. Zdawało się nam, że te więzienne i obozowe przeżycia stłumiły u nas wszystko – górnolotne myśli, przyćmiły ideały. Dochodziłyśmy do wniosku, że im więcej będziemy czuwały

nad swoją polszczyzną, to wprawimy się w poprawne, zwięzłe omawianie treści.

Czasem po prostu opowiadałyśmy przeczytane kiedyś powieści. Po takich wieczorach wracałyśmy w lepszych nastrojach na nasze ubogie i twarde prycze, miłsze były sny.

Zbliżała się druga rocznica wyzwolenia Warszawy. Postanowiłyśmy uczcić ten dzień po swojemu. Był krótki rys historyczny walk o wolność Warszawy. Wspomniłyśmy o 20 lipca 1944 roku. Opowiedziałam moje przeżycia z tych dni, kiedy to na moście na rzece Bug, w Siemiatyczach, witałam zwycięskie wojska polsko-radzieckie, wkraczające na oswobodzone, ale jak obficie zroszone krwią naszą polskie ziemie. Wygłosiłyśmy wiersze o Warszawie, śpiewałyśmy pieśni żołnierskie: “Maszerują chłopcy”, “Wojenko, wojenko”, “Przybyli ułani...”, “Okę”. Uroczystość zakończyłyśmy pieśnią “Jak uśmiech dziewczyny kochanej... Warszawo ty moja, Warszawo...”. Nie wstydziłyśmy się łez, które spływały po policzkach. Otrzymałyśmy rześiste brawa od rodaków oraz jeńców wojennych: Japończyków i Węgrów. Nie wiemy, czy wiele z tego zrozumieli, ale widząc nasze przeżycia i trud byli grzeczni i uznaniem swym nas nagrodzili. A więc pierwsze lody przełamane!... Po udanym wieczorze rozpoczęłyśmy przygotowanie akademii poświęconej trzeciej rocznicy wyzwolenia Polski i kapitulacji Niemiec. Na program w dniu 8 maja 1947 r. złożyły się fragmenty poezji – między innymi Marii Konopnickiej “Idziem do Ciebie, Ziemio, Matko miła”. Ja też odważyłam się wygłosić słowa przez siebie napisane:

*Ojczyzno moja, Ojczyzno kochana!*

*Jakżeś Ty daleko,*

*Gdy myślę o Tobie, tży mam pod powiejką*

*Gorące jak ogień, w oczach moich palą*

*I pytam siebie, co będzie dalej?*

*Ja nie mam już kraju, rodzina rozbita*

*Ja wiem, że gdy wyjdę, nikt mnie nie powita*

*Może tylko uśmiech promienisty słoneczka polskiego*

*Pozostałam sama, sama bez niczego!*

*I dlatego serce okrutny ból trawi*

*I dlatego właśnie oko mi się łzawi*

*Że nie wiem, czy wrócę na ojczyzny łono*

*Czy mnie polskie wiatry tchnieniem swym owioną?  
Jedyną pociechą jest nadzieja w Bogu  
Gdy na jego rozkaz z anielskiego raju  
Zagrzmie zew, koniec nadejdzie szatanom!!!  
I walki zacięte i boje ustaną...  
Powstanie nasz naród, znowu wielki, święty  
Ze snu letargicznego święty, wypoczęty!  
Przejdzie cierpienia, dzień jasny zawita  
A Polska swych biednych wygnañców powita!!!*

Po wygłoszeniu wierszy koleżanki, na podstawie własnych przeżyć, ukazały bestialstwo hord hitlerowskich. Program zakończyłyśmy wspólnym odśpiewaniem "Roty". "Nie rzucim Ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy. Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz ni dzieci nam germani!"

Przy tej pracy czas nam szybciej mijał. Sercem i myślami byłyśmy coraz bliżej kraju rodzinnego. Śledztwa i badania nie były tak brutalne i przykre. Nawet zaczęto dostarczać gazety. Miałyśmy już jaki taki kontakt ze światem. Skoro zaczęła o sobie dawać znać wiosna, poprosiłyśmy zarząd o siatkę i piłkę. Każdą wolną chwilę poświęcałyśmy teraz na ćwiczenia, na treningi. Dużo przebywałyśmy na świeżym powietrzu, buzie nie były papierowo blade. Ganiając za piłką zdołałyśmy się nieco opalić i nabyć na wyblakłe policzki lekkie rumieńce. Trenerem naszym był major dyplomowany Mieczysław Potocki, pseudonim "Węgielny", dowódca Drugiego Zgrupowania Brygad Partyzantki Okręg Wilno. Aresztowany 17 lipca 1944 r. na odprawie w Boguszycach pod Wilnem. To był wspaniały człowiek. Postęp w naszych ćwiczeniach był widoczny. W nagrodę dostałyśmy kostiumy: białe bluzki, czarne szorty. Na galowe występy otrzymywałyśmy ciemne spódnice. Gra naszą interesowali się nie tylko Polacy, ale na naszych meczach bywali jeńcy Japończycy i Węgrzy, a nawet Sowietci z administracji. Zrobiono nam po jednym z udanych meczów pamiątkowe zdjęcie, jedyne w obozie, z naszym trenerem Mieczysławem Potockim. Gratulowano nam, że w tak trudnych warunkach potrafiłyśmy zorganizować sobie życie kulturalne, to było nasze poważne osiągnięcie. Na tych popisach kulturalnych zyskiwałyśmy tyle, że zwalniano nas z prac w polu i poza obozem. Z tym większą gorliwością urządzałyśmy wieczornice, poświęcone naszym wybitnym poetom i pisarzom, wieczór pieśni, wieczór baśni. Teraz czas nie dłużył się. Sala była

duża, jasna i utrzymana w należyтым porządku. Raz w rewanżu zorganizowano nam wieczór pieśni rosyjskich. Atmosfera w obozie poprawiła się. Przebąkiwano, że dochodzenia zakończono. Obwieszczono nam, że jesteśmy uniewinnieni. To, że tu się znalazłyśmy, to wina naszych ludzi, którzy podali nasze nazwiska, jako ludzi wrogo nastawionych do ustroju socjalistycznego. My, to po prostu ofiary wojny. Już teraz cierpliwie czekamy na rozkaz odwiezienia nas do Polski. Łudziłyśmy się tą błogą nadzieją przeszło trzy lata.

Dopiero 20 października 1947 r. oznajmiono oficjalnie, że definitywnie jedziemy do Polski. W końcowej fazie, publicznie, na placu apelowym, przeproszono nas za długie przetrzymanie. Nie ich to wina, a naszych rodaków... Tego dnia dano nam obiad wcześniej, imienne zaświadczenia, które mieliśmy okazać w pierwszym punkcie repatriacyjnym w Polsce. Dowieźli nas do stacji, załadowali do wagonów, tym razem do osobowych, a nam znów się zdawało, że jedziemy w nieznaną... I ta podróż była uciążliwa. Zaznaliśmy jeszcze głodu i chłodu. Zagrzewała nas nadzieja, że lada dzień znajdziemy się na własnej ziemi. W trzy lata po aresztowaniu, bo 1 listopada 1947 r. dojechałyśmy do Brześcia nad Bugiem. Tam znowu wiadomość zaskakująca, szokująca! W Brześciu mamy odbyć dwutygodniową kwarantannę, bo nie wiadomo, jakie choróbska ze sobą wieziemy. Brześć znałam przed wojną, ale trudno go było poznać, zrujnowany, nazwy rosyjskie, bałagan powojenny. A lokum, które miało być naszym schronieniem przez dwa tygodnie, było niżej krytyki. Żadnych łóżek, żadnego sprzętu, jedynie na brudnej podłodze zmierzwiona słoma, obrzydliwie było tam usiąść, a tym bardziej położyć się. Odnalazłyśmy jakiś urzędników i kategorycznie orzekłyśmy, że na mierzwie spać nie będziemy. Dopiero w takich warunkach tyfus i cholera nas złoży. Tłumaczyli się, że nie mają ludzi do roboty. Nie było innej rady. Zakasałyśmy rękawy, uprzątnęłyśmy brudną słomę i umyły podłogę. Przesiedziałyśmy pierwszą noc na wilgotnej podłodze. Na drugi dzień dostarczono świeżą słomę, prześcieradła i koce. Tu niestety też nie brakowało wszy i pluskiew. Wyżywienie słabe. Na dwór nie wychodziłyśmy, bo była marznąca mżawka, a ubrania nasze były wiatrem podszyte. Taką kwarantannę pamięta się całe życie! Wysłałyśmy stąd kartki do domu, że przyjedziemy 15 listopada. Boże, czy to prawda, że tego dnia będziemy wśród swoich najbliższych? A może jeszcze zmienią marszrutę?

Dzień 13 listopada 1947 r. to dzień św. Stanisława, który przyniósł

nam wolność!!! Załadowano nas do radzieckich wagonów i dowieziono do Terespoła. Tu miałyśmy się przesiąść do polskich pociągów. Zanim jednak to uczyniłyśmy, wszyscy ukłękli, gdzie stali, z wielką czcią ucałowali tę obficie zlaną krwią męczeńską ziemię. Przez łzy odśpiewaliśmy hymn Polski "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy". Po trzech latach i dwóch tygodniach nareszcie wolni i bez konwojentów!!! Z tą radością pobiegłyśmy na dworzec, a tam oniemiałyśmy z wrażenia. Gdy nam brakowało chleba, tu w gablotach wędliny, ciastka, słodycze. Musiałyśmy mieć nieciekawe miny, skoro podszedł do nas mężczyzna w wojskowym płaszczu i spytał, skąd przybyłyśmy? On wrócił stamtąd rok temu. Cieszył się naszym szczęściem. Kazał nam wybrać z gablot, na co mamy chęć, a gdy przyznałyśmy się, że nie mamy pieniędzy, zamówił dla nas kanapki z szynką, ciastka i czekoladę. Gdy dziękowałyśmy, nie chcąc przyjąć tych darów, zabrał to wszystko na tacy i przyniósł nam do pociągu, mówiąc, że spłaca dług. Jego w ten sposób witały nieznane mu osoby. On z kolei chce nam wyświadczyć tę przyjemność. Podziękowałyśmy raz jeszcze, dzieląc się tymi darami ze współtowarzyszkami niedoli. W coraz lepszym nastroju zbliżałyśmy się do Białej Podlaskiej, do najbliższego punktu repatriacyjnego, ale nocowałyśmy niestety w wagonach. 14 listopada od rana była rejestracja nas w PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny). Dano nam czystą bieliznę, ubrania, a nawet buty, jeśli ktoś zdołał dobrać do swoich nóg. Zamiast brudnych kufajek otrzymaliśmy płaszcze lub jesionki. Nareszcie część brudu z nas spadła. Dostałyśmy mydło, ręczniki. Z grubsza umyć, przebrani, ale we włosach wiele jeszcze "niespodzianek" i brudu. Otrzymałyśmy bezpłatny bilet do domu oraz przepustkę, że do 27 listopada 1947 r. mamy wolne przejazdy różnymi środkami lokomocji. Z Białej Podlaskiej pojechałyśmy każda w swoją stronę, już jako ludzie wolni! Bagażu żadnego nie miałyśmy. Ja udałam się przez Siedlce, Siemiatycze do Bociek. W Siedlcach spotkałam znajomych, którzy powiadomili mnie, że mój ojciec już od stycznia 1947 r. nie żyje. Biedny, nie doczekał powrotu z tułaczki jedyne dziecko.

Do Bociek dojechałam dopiero 15 listopada. Tyle lat wykreślonych z życia! Wielka radość, ale oczy pełne łez!... Trudno było zmobilizować się do normalnego życia. Koleżanki złożyły za mnie podanie do Inspektoratu szkolnego w Białej Podlaskiej o przyjęcie mnie do pracy, a do Kuratorium w Białymstoku o odszkodowanie za utratę zdrowia. Zatrudniono mnie



z dniem 16 listopada 1947 r. w Szkole Powszechnej w Boćkach, a o odškodowaniu nie było mowy. Jeszcze oparła się sprawa o ministerstwo. Pan minister Tułodziecki po przyjacielsku doradził mi, bym nawet w życiorysie nie pisała, że byłam internowana przez trzy lata na terenie ZSRR. Dano mi trzymiesięczny urlop płatny na poratowanie zdrowia, ogarnięcie się i upodobnienie do ludzi. Mąż mój był jeszcze w Szkocji. Zgłosił już powrót do Polski. Czekałam cierpliwie... Seria wrzodów nękała mnie ponownie. Obrzęki nóg, rąk i twarzy nie ustępowały. Żeby otrząsnąć się szybciej z koszmaru, już 13 stycznia 1948 r. przystąpiłam do pracy w szkole, rezygnując z dalszego urlopu. Do budynku szkolnego zbliżałam się z bijącym sercem. Nie wiedziałam, jak przyjmie mnie grono nauczycielskie i czy zaakceptuje mnie młodzież? Ale obawy były zbędne. Przyjęto mnie bardzo serdecznie i ciepło. Wielu uczniów pamiętało mnie jeszcze z 1944 r. Gdy po tajnym nauczaniu rozpoczęłam pracę zawodową, też nie pytałam za ile? Wprzęgłam się bez reszty do tej trudnej, ale jakże odpowiedzialnej pracy. Cieszyło mnie wszystko, a dobre wyniki w nauce były nagrodą i zapłatą za trud. Do pracy w szkole doszło mi kierownictwo kursów dla dorosłych i korepetycje. Praca rozpraszała czarne myśli i tęsknotę za ukochanym człowiekiem.

Od 15 kwietnia do 15 maja skierowano mnie do sanatorium w Dusznikach Zdroju. Otrzymałam płatny urlop. Tam lekarze zajęli się nami, repatriantami bardzo serdecznie i solidnie. Wyleczyli moje owrzodzone ciało. Dobre wyżywienie, komfortowe warunki, świeże powietrze postawiły mnie na nogi. po raz pierwszy poznałam uroki Sudetów i uzdrowisk dolnośląskich. Najbardziej niepokoił mnie fakt, czy zdążę dojechać do Gdyni na powitanie męża, którego nie widziałam od 24 sierpnia 1939 r. Ostatnio pisujemy do siebie codziennie. Otrzymuję paczuszki, a wszystko się przydaje, bo nowe życie zaczynamy od zera. Nasze meble, zamówione w sierpniu, spłonęły na początku września 1939 roku wraz z miastem. Nie miałam środka lokomocji do wcześniejszego przywiezienia ich z Mławy do Łukomia koło Sierpca, gdzie byliśmy wraz z mężem zatrudnieni w szkole od 1 września. Ubrania, pościel utraciłam podczas ewakuacji z Sierpca do Radzyna Podlaskiego, za Siedlcami. Po miesięcznej tułaczce w 1939 r. wróciłam dosłownie naga i bosa do gołych ścian w Bieżuniu, gdzie przebywałam do 1942 r. Ale życie było przed nami. Fakt, że wytrwaliśmy tyle lat, czekając na siebie, napawa nadzieją, że damy sobie radę i powoli uwijemy gniazdko,



choć ubogie ale własne. Bodźcem do pracy pedagogicznej była wspaniała młodzież, łaknąca wiedzy, społecznie zorganizowana, chętna do każdej pracy. Nie mieliśmy żadnych problemów wychowawczych. Mimo braku podręczników młodzież uczyła się wzorowo. Niektórzy dwie klasy przera-  
biali jednego roku.

Nareszcie najszcześniejsza wiadomość!!! Mąż wraca do Polski 8-9 czerwca (1948 r.). Ile szczęścia i radości musiało pomieścić moje stęsknione serce! Do Gdyni pojechałam pod koniec maja, by nie przegapić przybycia statku. Ze wstydem muszę przyznać, że mimo iż pracowałam przed wojną pięć lat, morza polskiego nie widziałam. Swój start życiowy zaczynałam od bezpłatnej praktyki w Szkole Nr 1 w Sierpcu, a potem wakacje były zajęte, bo studiowałam na WKN (Wyższy Kurs Nauczycielski) w Warszawie. Teraz dopiero nadarza się okazja, by poznać wybrzeże polskie i porty.

Statek przypłynął do Gdyni dziewiątego czerwca (1948 r.), a z mężem spotkałam się dopiero dwunastego czerwca. Radości naszej nie było końca. Trudno było uwierzyć we własne szczęście. Chwilami bałam się, czy to nie sen? Tego samego dnia dojechaliśmy do Białegostoku, który był nie mniej zniszczony niż Warszawa. W Bielsku Podlaskim czekały na nas konie, przyjechał po nas mój stryj, który przebywał w obozie w Riazaniu i wrócił do kraju przede mną. Znowu uściski, powitania!!! Dom nasz zaludnił się. Przyjaciele, rodzina przychodzili powitać bohatera spod Monte Cassino!

A nasze początki nie były najlżejsze. Zamieszkaliśmy z moją mamą. Ponieważ koleżanka ze szkoły miała przenieść się z Bociek do Elbląga, mąż mój postanowił po wakacjach rozpocząć pracę w szkole w Boćkach. Jak wszyscy wtedy nauczyciele, nie pytał za ile. Od września 1948 r. oboje nieśliśmy "oświaty kaganek" do spragnionej wiedzy młodzieży i starszych. Na Podlasiu, w Polsce "B" dane statystyczne wykazały, że stan oświaty jest zastraszający – 60% analfabetów. Uczyliśmy starych i młodych rolników, urzędników i milicję. Praca szła pełną parą, a wyniki były widoczne. A my w żółwym tempie dorabialiśmy się i z każdej kupionej rzeczy cieszyliśmy się jak dzieci. Życie normowało się. Los wynagrodził nas rozłąką. 14 kwietnia 1949 r. urodziła się nam córeczka – Bożena-Justyna, a 9 czerwca 1950 r. przyszła na świat następna córka – Sławomira-Małgorzata. Nareszcie byliśmy rodziną, mającą w swej pieczy dwoje "piskląt", o które mu-

sieliśmy się troszczyć, by wyrosły na porządnych ludzi i miały lepszą młodość niż my. Od pierwszego września 1950 r. przeniesiono nas, dla dobra szkoły, z Bociek do Milejczyc, pow. Siemiatycze. Ja byłam nauczycielką, a mężowi powierzono kierownictwo Szkoły Podstawowej i Rolniczej w Milejczycach. Wzniesiono fundamenty pod budowę nowej, pięknej szkoły, którą wykończyliśmy w 1954 r.

Długo nie mogłam wziąć pióra do ręki, by spisać swe przeżycia. Bałam się odświeżać zbyt bolesne rany. Czterdzieści lat czekałam, aż się one załóżnią. Fakty jednak tłoczą się do głowy i nie dają spokoju. Upominają się, by je ocalić od zapomnienia.

Fot. 10. Jedną z grup Uniwersytetu Warszawskiego w Warszawie. W środku siedzi Stanisław Dykiński z żoną. Z tyłu: Agnieszka i Andrzej Kogowski.

Fot. 11. W domu w Warszawie. W środku: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 12. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 13. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 14. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 15. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 16. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 17. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 18. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 19. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 20. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.

Fot. 21. Stanisław Dykiński z żoną przed starą domem przy ul. Piłsudskiego w Warszawie. W tle: Stanisław Dykiński i siostra Stanisława Dykińskiego - Ewa Górska.